

Staruszek Arystofanesa

AUTOR: JAROSŁAW ZALESIŃSKI

Znak to czasów, że w tym samym momencie i miejscu dwa teatry wprowadzają na afisz dwie sztuki Arystofanesa mające za temat wojnę płci – obydwie traktując wycinkowo i swobodnie.

Podróż w czasie I

Miłe złego początki: scena, od której rozpoczyna się przedstawienie *Lizystrata*, czyli *strajk kobiet* w Teatrze Miejskim w Gdyni, ma w sobie wiele delikatnego uroku. Ona (Olga Barbara Długońska), pani sprzątaczką, chodzi z miotłą po wszystkich kątach galeryjnej sali muzeum, sprząając tak długo i pedantycznie, że domyślamy się w tym czegoś więcej, niż tylko zawodowej sumienności, tak jakby czekała tu na coś. Sekret wyjaśnia się, gdy pojawia się on (Piotr Michalski) – muzealny ochroniarz. Że mają się ku sobie, widać od razu, jak się jednak zbliżyć? Dzięki kobiecemu fortelowi: prośbie o pomoc w zdjęciu wymiarów, potrzebnych w internetowych zakupach. Krawiecki centymetr jakimś trafem odnajduje się od razu w kieszeni, on mierzy, ona zapamiętuje, gdy na koniec niby przypadkiem rozpuszcza włosy, on aż zastyga z wrażenia.

Miłe złego początki, bo ta urokliwa delikatność damsko-męskiej relacji szybko rozwiewa się bez śladu. Muzeum organizuje ważny wernisaż, jest z tym wiele zachodu i bieganiny. Scena wypełnia się kolejnymi postaciami, które wpadają i wypadają w nerwowym pośpiechu. Pojawiają się też pierwsi goście, para narzeczonych, którzy każde słowo zamieniają w kłótnię. Agnieszka Bała i Maciej Wizner umiejętnie i jak gdyby ze znajomością rzeczy odtwarzają komediodramat źle dobranej pary. Jak w książkowym poradniku *Partnerstwo bliskości*: ona to kobieta „lękowa”, on – mężczyzna „unikający”, bez szans na harmonijny związek. Reżyserka Zdenka Pszczółowska zręcznie steruje ruchem scenicznym, aktorów jest już na scenie kilkunastu, robi się coraz bardziej nerwowo, coraz pośpieszniej, napięcie rośnie aż do dramatycznej kulminacji – na scenę zniecka wpada zamachowiec z pistoletem

(Grzegorz Wolf), jak się okazuje, mężczyzna po zawodzie miłosnym, który jednym strzałem zabija obiekt swoich uczuć, a drugim samego siebie. Po subtelnym początku mamy oto dwa trupy na scenie...

Określenie „dramatyczna kulminacja” wypada jednak wziąć w cudzysłów. Rozbudowany prolog ma wprowadzić widza w wymyśloną przez Pszczółowską (również autorkę scenariusza) historyjkę, która Arystofanesową *Lizystratę* czyni etapem podróży w czasie i przestrzeni. Byśmy mogli połapać się w tym, co się potem wydarza, trzeba to opowiedzieć, zapowiedzieć, wyjaśnić i wytłumaczyć. Dramatycznego węzła to nie zawiązuje... Także wówczas, gdy do głosu zostaje już dopuszczony sam Arystofanes, w środkowej części spektaklu, rozgrywającej się na odległej planecie w odległej przeszłości, nie dzieje się wiele. Z antycznego tekstu zostały wypreparowane jedynie pojedyncze sceny: rzucenie przez Lizystratę hasła seksualnego strajku, zmaganie się kobiet z głosem natury, takie same męskie zmagania i szczęśliwy finał: zawarcie przez wojujących mężczyzn pokoju w zamian za przywrócenie naturalnego biegu spraw w małżeńskich sypialniach. Na dokładniejszy rysunek postaci i precyzyjne poprowadzenie wątków nie ma tu przestrzeni. Nie dziwi, że Szymon Sędrowski, wykorzystując swoją naturalną *vis comica*, tak szarżuje w scenie, w której odgrywa męża przypiekanego żądzą. Ale czy Arystofanes potrzebuje podobnych szarż?

Szarżą jest też przekład Olgi Śmiechowicz z licznymi wulgaryzmami. Pytanie do filologów, czy to sztubacka zabawa klasyką, czy przybliżanie nas do oryginału, w każdym razie – na scenie brzmi to zgrzytliwie. Arystofanes bywa nawet skatologiczny, to wiemy, ale żeby przeklinał jak szewc? Baletowe wstawki

(choreografia: Oskar Malinowski) i osobliwe kostiumy (Magdalena Mucha) miały tworzyć plastyczną wizję cywilizacji humanoidów, zamieszkujących odległy w czasie i przestrzeni księżyc, krążący wokół planety S.E.X. Kłopot w tym, że współczesnego widza, karmionego od lat sugestywnymi (głównie kinowymi) obrazami fantastycznych rzeczywistości, nie usatysfakcjonuje się tak łatwo. Gdy aktorka, rozzłoszczona żona, w jednej ze scenek prychnęła i syczała jak kot, niczym znani z filmu *Avatar* Na'vi, pomyślałem, że planeta S.E.X. krąży bardzo, bardzo daleko od Pandory...

Na szczęście pokój na księżycu planety S.E.X. zostaje zawarty ekspresowo, co pozwala nam przenieść się z kosmiczno-antycznego Arystofanesowego świata tym razem w odległą przyszłość. Te wędrówki w czasie rozgrywają się w trójdzielnej przestrzeni (scenografia: Anna Oramus): współczesność i przyszłość z przodu sceny, antyczno-kosmiczna przeszłość – głównie w głębi, za tiulową zasłoną. W finale na tle kosmiczno-antycznych żywych obrazów, przeświecających przez tiul, oglądamy scenkę edukacyjnej wycieczki do muzeum. Orowadzający studentów Profesor (Rafał Kowal) wyklada im, jak to drzewiej w tych sprawach bywało. Patrzy przy tym już mniej w stronę antycznej i zamierchłej przeszłości, częściej na publiczność, czyli na naszą teraźniejszość, a studentom robią się coraz większe oczy ze zdumienia. Kiedyś (czyli dzisiaj) uważano na przykład, że są tylko dwie płcie. „Tylko dwie?” – nie dowierzają studenci. „Tak, tak” – potwierdza ze smutkiem profesor. Kiedyś wierzono w bogów („W bogów?” „A gdzie oni żyli?” „W ludzkich głowach”), a nawet prowadzono w ich imię wojny religijne, w których ludzie zabijali się wzajem, podbijając swoje terytoria.

„A co to są terytoria?” „Ludzie się zabijali?” – nie mogą wyjść ze zdumienia zszokowani studenci. „Tak, tak” – potwierdza z jeszcze głębszym zasmuceniem profesor.

Naprawdę nie wiem, jak czytać tę dydaktyczną opowiastkę. Czy autorka scenariusza wypowiada na serio swoje credo, swoją wiarę w to, że walka płci była w przeszłości przyczyną wszystkich ludzkich strapień, które w przyszłości znikną jak ręką odjął, bo dzięki genderowej rewolucji dokona się powszechne zbratanie? Platon przy tym to nic... I jak ta

rewolucja miałaby się dokonać? W spektaklu dostajemy tylko jeden tłumaczący to trop. Krzysztof Berendt gra w pierwszej części, z humorem i taktem, homoerotycznego chłopaka. W części drugiej, gdy aktorzy zmieniają kostiumy na fantazyjno-kosmiczne, on jeden pozostaje w tym samym współczesnym stroju i jak gdyby nigdy nic dalej nagrywa wydarzenia swoim telefonem. W finale staje się jednym ze studentów, niczym już nie odróżniając się od reszty. Postać ta to zatem jakby łącznik pomiędzy dawnymi i przyszłymi laty, pokazu-

jący, że to, co było uznawane za odstępstwo od normy, odstępstwem być przestanie, a nawet – zniknie samo pojęcie „normy”, tak jak zniknie dziwaczne słowo „terytorium”. Zrazem wszystko i nic będzie „normą”.

Nie podejmuję się oceny sensowności tej wiary, nie potrafię też powiedzieć, czy ta utopijna wizja nie służy jedynie temu, by na jej tle tym wyraźniej pokazać współczesność, rozbieganą, znerwicowaną, dysharmonijną, zdominowaną przez nierozwiązywalny konflikt płci. Tacy jesteśmy. Ale czy staniemy się inni?

TEATR MIEJSKI
IM. WITOLDA
GOMBROWICZA
W GDYNI

*Lizystrata, czyli strajk
kobiet na podstawie
Lizystraty*
Arystofanesa

tłumaczenie
Olga Śmiechowicz
reżyseria, dramaturgia
Zdenka Pszczółowska
scenografia
Anna Oramus
kostiumy
Magdalena Mucha
reżyseria światła
Klaudyna Schubert
muzyka
Andrzej Konieczny,
Myra-Ida van der Veen
choreografia
Oskar Malinowski
wizualizacje
Maja Szerel

premiera
17 lutego 2024

Scena zbiorowa

TEATR GDYNIA
GŁÓWNA

Wieczna komedia
inspirowana tekstami
Arystofanesa
i Rebekki Solnit

tłumaczenie
Janina Ławińska-
Tyszkowska,
Anna Dzierzgowska
scenariusz
Grzegorz Kujawiński
i zespół aktorski
reżyseria
Grzegorz Kujawiński
kostiumy, światło,
dźwięk
Marzena Chojnowska

premiera
17, 18 lutego 2024

Scena zbiorowa



fol. Roman Jocher / Teatr Miejski w Gdyni



fol. Marzena Chojnowska / Teatr Gdynia Główna

I czy pociąga nas wizja z finałowej sceny? Znow pojawia się pani sprzątaczką, która przegania studentów oraz mędrkującego profesora i bierze się za sprzątanie po tym wszystkim. Ale pan ochroniarz już się nie zjawia. Reżyserce chodziło pewnie o klamrową kompozycję, ale niechcący pokazała, że bez tego kleju, którym jest konflikt, nie ma połączenia. Jest się szczęśliwym – i samotnym.

Podróż w czasie II

Znak to czasów, że w tym samym momencie i miejscu dwa teatry wprowadzają na afisz dwie sztuki Arystofanesa mające za temat wojnę płci. Teatr Gdynia Główna sięgnął po *Sejm kobiet*, wykorzystując klasyka równie wycinkowo i równie swobodnie, co twórcy z Teatru Miejskiego, choć w odwrotnym układzie: wymyki z oryginalnego tekstu znalazły się na początku i na końcu, a to, co dopisane – pośrodku. Przedstawienie rozpoczyna się zatem po bożemu: po tajemniczym łomocie w ciemnościach na niewielkiej scenie pojawia się Praksagora (Anna Bochnak-Fryc), która o świcie zwołała swoje przyjaciółki, z zamiarem wybrania się w męskim przebraniu na zgromadzenie ateńczyków i przeprowadzenia demokratycznego przewrotu oraz objęcia władzy nad miastem. Reżyser Grzegorz Kujawiński przyjął, że Arystofanes nie potrzebuje komediowych szarż. Wystarczy dokleić paniom sztuczne brody i podawać tekst dialogów tak, jak zostały napisane, by było śmiesznie. Do czasu jednak. Gdy Praksagora obejmuje rządy i zaczyna snuć wizję społecznej rzeczywistości, w której każdy będzie się „młócił” z każdym, młoda aktorka nie wytrzymuje: „Precz z tą seksualną komuną – krzyczy. – Precz!!!”. Współczesnej młodej kobiecie komediowy tekst Arystofanesa staje kością w gardle. A że reżyser gdzieś się zapodział, to kobiety, jak w dramacie, przejmują władzę nad przedstawieniem i pokazują, czy mogą rządzić z sensem.

Kujawiński, który nad scenariuszem pracował razem z aktorkami, znakomicie wyczuł,

na który moment antycznego tekstu współczesna, zwłaszcza zaś kobieca, wrażliwość reaguje sprzeciwem. W czasach Arystofanesa już sam koncept powierzenia babom rządów musiał powodować męski rechot. Dzisiaj zapytamy jednak: a właściwie czemu nie? Co nie znaczy, że rechot umilkł. We współczesną część przedstawienia wpleciono fragment peerelowskiej kroniki filmowej (podejrzewam, że wyprodukowanej na prima aprilis), opowiadającej, jak to w jednej wiosce panie objęły władzę i w chustkach na głowach chodzą po obejściach i budowach, sprawując rządy. Boki zrywać... Takich filmowych wstawek stylizowanych na stare (bo dżanderskie) kino jest w przedstawieniu więcej. Znajdziemy w nich na przykład niewybredne męskie bon moty na temat pań, nie wyłączając tego słynnego Prezesowskiego o młódkach, co to nie mają dzieci, bo dają w szyję.

Męski rechot polega na powszechnie uewnętrznionym i niewymagającym dowodu przekonaniu, że kobieta jest gatunkiem niższym niż mężczyzna. Rebecca Solnit, amerykańska feministka, dowodzi, że to jeden z fundamentów kultury Zachodu, wyrażający się w wielu formach – i dosadnych, i subtelnych. Zjawisko to nie musi wcale polegać na nadmiarowym poziomie testosteronu, jak w śpiewanej przez aktorki prostackiej piosence raperskiego duetu Sokoła i Pono z gościnnym udziałem Franka Kimono i refrenikiem: „Będę brał cię w aucie. Ehe”. Jedną z najciekawszych scen spektaklu przywołuje obrazowo (skryta za prześcieradłem, ubrana w szpilki aktorka rozwiesza pranie) i tekstowo fragment eseju *Babka pajak* Solnit, w którym autorka mówi o tym, jak „kobieta istnieje i zostaje zarazem wymazana”. Wymazana przez przedmiotowe patrzenie na nią. Teraz już rozumiemy, dlaczego jedyną scenografią jest tu kilka sklepowych manekinów.

Obsadę tworzy zgrany, choć różny w swoich emocjach zespół, który wymienić trzeba jednym tchem – poza wspomnianą Anną Bochnak-Fryc w jego skład wchodzi: Krzysztofa

Gomółka-Pawlicka, Marta Jaszewska i Małgorzata Polakowska. Aktorki tworzą żywy plan, który się przeciwko uprzedmiotowieniu buntuje. I to z jaką pasją! Dziewczyny (pozwolę je sobie tak nazwać) mówią tu przecież o sobie i od siebie. Gdy inscenizują wśród publiczności głosowanie na temat aborcji, pytają: „A czy ktoś jest za referendum?”, zadają we własnym imieniu i tak groźnym tonem, że nikt nie ośmielił się podnieść ręki.

Myślowy patronat Solnit widać w jeszcze jednym wymiarze. Feministyczna Walka z Patriarchatem ma u nas i pozytywne, i mniej pozytywne konotacje, zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Jednostronność i ideologiczne zaciętrzewienie raczej odstręczają, niż przekonują. Solnit reprezentuje feminizm gniewny, ale przy tym zrównoważony, czarne nie zawsze jest dla niej czarne, a białe – białe. Nie każda kobieta to uciśniony anioł i nie każdy mężczyzna jest przemocowcem. W *Wiecznej komedii* dostaje się więc także kobiecości, choćby w scenie, w której bohaterki, gdańcząc jak kury, złośliwie i zazdrośnie komentują upojny taniec, do którego ich koleżanka, po założeniu seksownej małej czarnej, porwała jednego z widzów. I kobiety bywają wredne, zwłaszcza dla siebie...

Utkany z takich drobnych scenek i sytuacji spektakl w kalejdoskopowej opowieści streszcza współczesne wydanie „wiecznej komedii” damsko-męskich relacji. Jak ten wymiar przekroczyć? Reżyser znow bardzo zręcznie wybrał fragment Arystofanesa, który niegdyś budził pewnie rechot, a w kontekście całego przedstawienia zabrzmiał jak program genderowej rewolucji, polegającej, mówiąc najkrócej, na marszu przez instytucje. Długim jeszcze, ale zwycięskim. Nie wiem, co Arystofanes, było nie było obyczajowy konserwatysta, powiedziałby na uczynienie go ideologiem genderowej rewolucji, ale przyznać trzeba, że zostało to zrobione zręcznie.

Gdy już spektakl się skończył, reżyser się odnalazł i wyszedł do zasłużonych braw razem z żeńskim zespołem, kilka pań na widowni poderwało się do oklasków. *Wieczna komedia* mocno widać dotknęła w nich jakiejś ukrytej struny. Ja mimo wszystko nie powstałem, przeciwnie, usiadłem z wrażenia, że tak ciekawie pomyślane i przekonująco odegrane przedstawienie pojawiło się w podziemiu gdyńskiego dworca. ■

Reżyser *Wiecznej komedii* przyjął, że Arystofanes nie potrzebuje komediowych szarż. Wystarczy dokleić paniom sztuczne brody i podawać tekst dialogów tak, jak zostały napisane, by było śmiesznie.